

JAMES ROLLINS

Autor AMAZONII i EKSPEDYCJI



PODZIEMNY
LABIRYNT

PROLOG

Wulkan Erebus, Antarktyda

Od horyzontu po horyzont rozciąga się płaszczyzna bladobłękitnego lodu wygładzonego niemal do połysku przez pędzone huraganowymi wiatrami drobiny. Jedyne występujące w tym regionie formy życia to tworzące żółte plamy porosty, które istniały znacznie wcześniej, niż w bazie McMurdo pojawili się ludzie.

Prawie trzy i pół kilometra poniżej podstawy wulkanu Erebus, pod lodowcem, wieczną zmarzliną i grubą warstwą granitu, szeregowy Peter Wombley starł pot z oczu. Marzył o puszcze coorsa, którego karton zadekował w lodówce w swojej kwaterze.

— To miejsce jest nienormalne. Na górze śnieżna burza, a tu goręcej niż w cipie napalonej dziwki — powiedział.

— Nie byłoby aż tak źle, gdybyś ciągle nad tym nie rozmyślał — odparł porucznik Brian Flattery, zdejmując reflektor ze skutera śnieżnego. — Idziemy. Musimy do końca zmiany skalibrować trzy przekązniki.

Peter sięgnął po swój reflektor, włączył go i jaskinię przeszył snop jaskrawego światła. Poszedł za porucznikiem.

— Uważaj, jak idziesz — upomniał go Brian, wskazując światłem pęknięcie w dnie jaskini.

Mijając czarną szczelinę, Peter podejrzliwie się jej przyglądał.

Przez trzy miesiące pobytu w jaskiniach wyrobił się w nim zdrowy respekt wobec przypominającej plaster miodu podziemnej formacji. Wychylił się za krawędź i skierował światło w dół. Promień zdawał się mknąć do dna świata. Peter wzdrygnął się. Ciekawe, czy piekło ma drzwi wejściowe?

— Zaczekaj! — zawołał.

— Jadę do przekaźnika — rzucił Brian, ustawiając przy wylocie tunelu urządzenie zwane transporterem indywidualnym. — Masz do mojego powrotu pięć minut przerwy.

Peter dyskretnie odetchnął. Nienawidził tych kornikowych kanałów, jak żołnierze nazywali pełne zakrętów tunele o gładkich ścianach, tak wąskie, że człowiek ledwie się w nich mieścił. Transport ludzi i rzeczy między jaskiniami był możliwy jedynie na maleńkich zmotoryzowanych transporterach, które wyglądały jak deskorolka.

Brian położył się na brzuchu, głową do przodu, niczym chcący zjechać z górki chłopak. Poruszył rączką gazu i od ścian odbił się ryk silnika. Poziom decybeli podwoił się i potroił. Porucznik uniósł na pożegnanie kciuk, pchnął manetkę gazu i transporter pomknął do przodu, po czym zniknął w wąskim tunelu.

Peter przykucnął, by obserwować odjazd przełożonego. Gdy ryczący pojazd schował się za pierwszym zakrętem, tunel poczerniał. Po chwili umilkł odgłos silnika. Peter został sam.

Sprawdził w świetle ręcznego reflektora godzinę i uśmiechnął się. Brian powinien wrócić za pięć minut, ale jeśli będzie musiał rozebrać przekaźnik i wymienić jakieś części, może mu to zająć nawet dwadzieścia. A więc on miał czas. Wyciągnął z kieszeni kamizelki skrzeta.

Odłożył reflektor i ustawił najszerszy możliwy snop światła, by oświetlić jak najwięcej przestrzeni, po czym oparł się o ścianę, wyjął z kieszeni zapalnik i przypalił cienkiego jointa. Mocno się zaciągnął. Aaach... Oparł głowę o ścianę i wciągnął dym głęboko do płuc.

Nagle rozległ się dźwięk przypominający pocieranie kamieniem o kamień.

— Cholera! — Peter zachłysnął się dymem i złapał reflektor. Poruszając nim na boki, przeszukiwał otoczenie. Nic nie zobaczył. Jaskinia była pusta. Wsłuchał się uważnie, ale nie rozległ się żaden kolejny dźwięk. Jedynie w stożku światła skakały cienie.

Nagle miał wrażenie, jakby zrobiło się zimniej i ciemniej.

Popatrzył na zegarek. Minęły cztery minuty. Brian powinien już być w drodze powrotnej. Peter zadeptał niedopałek. Zapowiadało się nerwowe czekanie.

. . .

Porucznik Brian Flattery zamknął pokrywę panelu znajdującego się z boku jednostki komunikacyjnej. Szybki test wykazał, że wszystko jest w porządku. Zostały mu jeszcze tylko dwa przekaźniki. Rutynowe kontrole mogli przeprowadzać ludzie z zespołu, którym kierował, ale system był jego dzieckiem i nawet drobne zakłócenia uważał za obrazę swojej fachowości. Jeszcze tylko parę drobnych regulacji i wszystko będzie działać idealnie.

Podszedł do transportera czekającego z pracującym na luzie silnikiem i zajął pozycję do jazdy. Wrzucił bieg i tuż przed wjazdem w tunel lekko schylił głowę. Czuł się, jakby połykał go wąż. Gładkie ściany śmigały tuż przy głowie, snop światła z latarki czołówki wyznaczał kierunek. Po minucie wjechał do jaskini, gdzie zostawił Petera.

Zgasił silnik i rozejrzał się. Jaskinia była pusta, w powietrzu unosił się jedynie znajomy zapaszek. Marihuana.

— Niech to cholera! — Zsiadł i krzyknął podniesionym głosem służbisty: — Szeregowy Wombley! Natychmiast przywlec tu swój tyłek!

Okrzyk odbił się echem od ścian, ale Peter się nie zgłosił. Brian szybko przeszukał jaskinię światłem reflektora, nic to jednak nie dało. Dwa skutery, którymi tu przyjechali, stały pod ścianą. Gdzie

ten drań zniknął?

Brian ruszył w kierunku skuterów, lecz po kilku krokach jego lewa stopa poślizgnęła się na mokrej plamie. Zamachał rękami, by się czegoś złapać, ale nie znalazł niczego i z głośnym jękiem plasnął tyłkiem o dno jaskini. Reflektor z łoskotem potoczył się kilka metrów w bok i zatrzymał się tak, że świecił prosto na Briana. Porucznik czuł, jak przez tył spodni przesącza mu się ciepły płyn. Zgrzytnął zębami i zaklął.

Szybko wstał i krzywiąc się z obrzydzenia, wytarł tyłek. Pewien szeregowy coraz bardziej zasługiwał na niezłe skopanie po dupie. Zanim Brian wepchnął koszulę w spodnie, spojrzał na dłonie. Coś z nich kapło. Gdy uświadomił sobie, co to jest, westchnął głośno i gwałtownie cofnął się o krok, jakby chciał uciec przed własnymi rękami.

Dłonie miał pokryte świeżą krwią.

1

Kanion Chaco, Nowy Meksyk

Cholerne grzechotniki!

Zanim wsiadła do pordzewiałego chevroleta pick-upa, Ashley Carter otrzepała buty z błota. Rzuciła zakurzony kowbojski kapelusz na siedzenie obok i przeciągnęła chusteczką po czole. Sięgnęła przez drążek zmiany biegów, otworzyła schowek i wyjęła zestaw przeciwwukuszeniowy.

Kostką dłoni włączyła radio, ale z głośnika wydobył się jedynie szum zakłóceń. Nucąc pod nosem, rozerwała opakowanie strzykawki i wciągnęła w nią standardową dawkę antyserum uodparniającego na jad. Konieczną ilość umiała dobierać na oko. Potrząsnęła buteleczką — była niemal pusta. Najwyższy czas wybrać się do Albuquerque po następną.

Przetarła skórę gazikiem z alkoholem, wbiła igłę, cicho jęknęła, po czym zaaplikowała sobie bursztynowy płyn. Lekko poluzowała opaskę uciskową, posmarowała jodyną podwójne ukąszenie na przedramieniu i założyła opatrunek.

Z powrotem zacisnęła opaskę i popatrzyła na zegarek na desce rozdzielczej. Po dziesięciu minutach trzeba będzie znów poluzować.

Wzięła mikrofon radia i wcisnęła przycisk z boku.

— Randy, zgłoś się. Odbiór. — Gdy puściła przycisk, rozległ

się jedynie elektroniczny szum. — Randy, proszę, podnieś. Odbiór.

Jej sąsiad Randy ciągle jeszcze był na zwolnieniu lekarskim z powodu urazu pleców, jakiego doznał w kopalni. Przez ostatnie dziesięć tygodni zarobił na boku parę dodatkowych dolarów, opiekując się w ciągu dnia jej synem Jasonem.

Uruchomiła silnik i wyjechała tyłem w koleiny, które nazywano drogą. Radio wypuściło z siebie bezładny hałas, po czym rozległo się kilka zrozumiałych słów.

— ...łem. Co się dzieje? Spodziewaliśmy się ciebie godzinę temu.

Podniosła mikrofon.

— Przepraszam, Randy, ale znalazłam nowe pomieszczenie na stanowisku Anasazi. Ukryte za osuwiskiem skał. Chciałam je sprawdzić, zanim zniknie światło, ale grzechotnik diamentowy miał inny pomysł. Jadę pokazać ukąszenie doktorowi Marshallowi, wrócę za mniej więcej godzinę. Mógłbyś wsadzić lasagne do pieca? Odbiór. — Zawiesiła mikrofon na radiostacji.

Ponownie rozległy się trzaski.

— Ukąszenie! Znowu! To czwarty raz od Bożego Narodzenia! Przeciągasz strunę. Te samodzielne wyprawy któregoś dnia cię zabiją. W każdym razie, jak doktor Marshall cię obejrzy, natychmiast wracaj do domu. Czekają na ciebie ludzie z piechoty morskiej.

Ashley zmarszczyła czoło. Jęknęła i ponownie chwyciła mikrofon.

— Co się dzieje? Odbiór.

— Nie wiem. Rzną głupa... i są w tym świetni — dodał Randy ciszej. — Najprawdziwsi wojskowi. Znienawidzisz ich.

— Jeszcze tego mi trzeba! Co na to Jason? Odbiór.

— Świetnie. Chłonie wszystko z otwartymi ustami. Zadręcza jednego takiego kaprała. Chyba namówił go, by dał mu się pobawić bronią.

Ashley klepnęła w kierownicę.

— Jakim prawem wnoszą do mojego domu broń?! Zaraz będę, pilnuj gospodarstwa! Bez odbioru.

Sama nigdy nie nosiła broni, nawet w najbardziej niebezpiecznych regionach Nowego Meksyku, i prędzej trupem padnie, nim pozwoli przerośniętym dzieciakom wnosić jakieś groźne żelastwo do jej domu. Wrzuciła bieg i opony zapiszczały na skalistym podłożu.

. . .

Ashley wyskoczyła z samochodu i starając się nie urazić wiszącej na temblaku ręki, ruszyła przez kaktusowy ogród w stronę ludzi w mundurach zgromadzonych pod zielonym daszkiem werandy — w jedynym miejscu w promieniu stu metrów, gdzie był cień.

Gdy wielkimi krokami wchodziła po drewnianych schodach, mężczyźni nieco się cofnęli. Z wyjątkiem jednego, z brązowymi naszywkami.

Podeszła prosto do niego.

— Za kogo się właściwie uważacie, wpadając tu z arsenałem wystarczającym do rozniesienia w pył wietnamskiej wioski? Tu jest mój syn!

Usta oficera zacisnęły się w wąską kreskę. Cofnął się nieco, zdjął okulary przeciwsłoneczne i popatrzył na Ashley pozbawionymi emocji, błękitnymi jak lód oczami.

— Major Michaelson, proszę pani. Eskortujemy doktora Blakely'ego.

— Nie znam żadnego doktora Blakely'ego.

— Ale on zna panią. Twierdzi, że jest pani jednym z najlepszych paleoantropologów w kraju. Przynajmniej tak powiedział prezydentowi.

— Jakiemu prezydentowi?

— Prezydentowi Stanów Zjednoczonych — odparł całkowicie beznamiętnie major.

Zanim Ashley zdążyła zareagować, zobaczyła jasnowłosego

dzieciaka przeciskającego się przez grupę ludzi w mundurach.

— Mamo! Wróciłaś! Musisz to zobaczyć! — Syn popatrzył na temblak, po czym złapał Ashley za rękaw drugiej ręki. — Chodź!

Mimo że ledwie sięgał wojskowym ponad pas, rozepchnął ich na boki.

Ashley pozwoliła się wciągnąć synowi do domu. Gdy trzasnęły za nimi drzwi z moskitierą, ruszyła prosto do salonu. Na stole stała aktówka.

Z kuchni dochodził zapach czosnku, lasagne już się dopiekały. Ashley zaburczało w brzuchu — nie jadła od śniadania. Randy, w poplamionych kuchennych rękawicach, próbował wyjąć perkoczące danie tak, by nie rozrzucić zawartości. Widok potężnego mężczyzny ubranego w kuchenny fartuch i walczącego z brytfanną wywołał na jej ustach uśmiech. Widząc jej reakcję, Randy przewrócił oczami.

Gdy miała się przywitać, poczuła natarczywe pociągnięcia za rękaw.

— Chodź, mamo, zobacz, co ma doktor Blakely! To zajebiste!

— Uważaj, jak się wyrażasz, drogi panie — ostrzegła. — Wiesz, że nie pozwalamy tu na taki język. A teraz pokaż mi, o co chodzi. — Pomachała Randy'emu i dała się pociągnąć synowi w kierunku salonu.

Randy wskazał na stojącą na stole aktówkę.

— Jest w środku... — szepnął.

Uwagę Ashley przyciągnął szum wody. Otworzyły się drzwi łazienki i na korytarz wyszedł wysoki i chudy jak tyka czarnoskóry mężczyzna w trzyczęściowym garniturze. Był w średnim wieku; ostrzyżone tuż przy skórze włosy siwiały mu na skroniach. Poprawił okulary w drucianych oprawkach i uśmiechnął się. Podeszedł do Ashley szybkim krokiem i wyciągnął dłoń na powitanie.

— Profesor Ashley Carter... pani zeszłoroczne zdjęcie w „Archeology” nie ukazywało prawdy...

Umiała wyczuć mydlenie oczu. Brudna, z ręką na temblaku, w zabłoconych dżinsach na pewno nie była królową piękności.

— Może pan sobie odpuścić tę gadkę, doktorze. Co pan tu robi?

Blakely opuścił dłoń. Na sekundę lekko rozszerzyły mu się oczy, zaraz jednak nadrobił to jeszcze szerszym uśmiechem. Miał więcej zębów niż rekin.

— Podoba mi się pani konkretna postawa — powiedział. — Stawia człowieka na nogi. Chciałbym przedstawić pani pewną...

— Nie jestem zainteresowana. — Wskazała na drzwi. — Pan i pański orszak możecie się zbierać. W każdym razie dziękuję.

— Gdyby zechciała pani...

— Proszę mnie nie zmuszać do wyrzucenia pana z domu. — Energicznie wyciągnęła palec w kierunku drzwi z moskitierą.

— Wynagrodzenie to sto kawałków za dwa miesiące.

— Proszę natychmiast... — Ashley odchrząknęła, wbiła wzrok w gościa i uniosła brew. Ręka opadła jej wzdłuż ciała. — W takim razie słucham.

Od rozwodu ciągle walczyła o to, aby na stole nie brakowało jedzenia i mieli zapewniony dach nad głową. Pensja wykładowcy na uczelni ledwie pokrywała wydatki na życie — o projektach badawczych nie wspominając.

— Sekundeczkę! — dodała. — Nie tak szybko. To legalne? Niemożliwe...

— Zapewniam, profesor Carter, że sprawa jest jak najbardziej zgodna z prawem. A to nie wszystko. Publikacja zebranych wyników badań tylko pod pani nazwiskiem. Etat na uczelni, którą pani wybierze.

Miewała podobne marzenia po przejedzeniu się pizzą z kielbasą i cebulą.

— Jak to możliwe? Uniwersytety mają statuty... zasady... długoletnich pracowników. Jak?

— Projekt popierają osoby na najwyższych stanowiskach. Dano mi wolną rękę w zakresie zatrudniania współpracowników, do

tego za pieniądze, jakie uznam za stosowne im zaproponować.
— Usiadł na kanapie, założył nogę na nogę i rozłożył ręce wzdłuż
szczytu oparcia. — A chcę mieć panią.

— Dlaczego? — spytała ostrożnie Ashley, ciągle jeszcze
podejrzliwa.

Blakely pochylił się i uniośł dłoń, prosząc o cierpliwość. Sięgnął
po aktówkę i otworzył zamek. Używając obu rąk, ostrożnie wyjął
ze środka kryształową statuetkę i obrócił ją ku Ashley.

Była to postać ludzka, kobiety w ciąży z obwisłymi piersiami.
Przedmiot zamigotał w niknącym świetle, rzucając snopy
kolorowych błysków.

Skinął głową, zachęcając Ashley, żeby wzięła ten przedmiot.

— Co pani o tym sądzi?

Bała się dotknąć tego delikatnego cudeńka.

— Zdecydowanie prymitywne... Wygląda na ikonę płodności.
Doktor Blakely energicznie pokiwał głową.

— Oczywiście, jak najbardziej... niech pani popatrzy z bliska.

— Gdy unosił ciężką figurkę, ramiona drżały mu z wysiłku.

— Proszę dokładnie się przyjrzeć.

Ashley wyciągnęła ręce po statuetkę.

— Jest zrobiona z jednej bryły diamentu — wyjaśnił Blakely.

— Bez najmniejszej skazy.

Wyjaśniało to uzbrojoną eskortę. Ashley cofnęła ręce od
bezcennego przedmiotu i zaczęła rozważać, z czym może się
wiązać istnienie tego rodzaju artefaktu.

— Zajebiste... — szepnęła pod nosem.

. . .

Ashley Carter patrzyła przez stół, jak doktor Blakely zamyka
telefon i chowa go do kieszonki na piersi.

— A więc, pani profesor Carter... na czym stanęliśmy?

— Coś nie tak? — spytała, kawałkiem chleba czosnkowego
zbierając z talerza sos pomidorowy. Siedzieli przy metalowym

stole w kuchni.

Blakely pokręcił głową.

— Wszystko gra. Potwierdzałem jedynie dołączenie kolejnego członka do zespołu. Australijskiego eksperta od jaskiń.
— Uśmiechnął się uspokajająco. — A więc na czym stanęliśmy?

— Kto ma należeć do tego zespołu? — spytała, podejrzliwie przyglądając się gościowi.

— Niestety, nazwiska to tajemnica, powiem jednak, że rozmawiamy z jednym z wiodących kanadyjskich biologów i z geologiem z Egiptu. I kilkoma innymi osobami...

Ashley zdawała sobie sprawę, że pyta na darmo.

— Świetnie. Wróćmy w takim razie do diamentowej statuetki. Nie powiedział pan, gdzie ją odkryto.

Blakely wyduł wargi.

— Ta informacja też jest tajna. Zastrzeżona wyłącznie dla osób uczestniczących w projekcie. — Złożył leżącą na kolanach serwetkę.

— Sądziłam, że podyskutujemy, a raczej skąpi pan informacji.

— Możliwe, ale od pani też nie dostałem konkretnej odpowiedzi. Jest pani gotowa dołączyć do zespołu?

— Potrzebuję więcej szczegółów. I czasu na przeorganizowanie czekającej mnie pracy.

— Zajmiemy się takimi drobiazgami.

Ashley pomyślała o Jasonie, który siedział przed telewizorem i jadł kolację ze starej tacy.

— Mam też syna. Nie mogę wstać i wyjść. A on nie jest drobiazgiem.

— Ma pani byłego męża. Scott Vandercleve, jeśli się nie mylę.

— Jason nie zostanie z nim. Mowy nie ma.

Blakely głośno westchnął.

— W takim razie mamy problem.

Sprawa była rzeczywiście trudna. Jason miał kłopoty w szkole i Ashley przysięgła sobie, że tego lata spędzi z nim więcej czasu.

— To nie podlega dyskusji — odparła z największym przekonaniem, na jakie było ją stać. — Albo Jason pojedzie ze mną, albo nie będę miała innego wyboru, niż odmówić.

Blakely przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

— Był ze mną na różnych wykopaliskach — powiedziała Ashley. — Poradzi sobie.

— Nie sądzę, żeby to było roztropne. — Uśmiechnął się lekko.

— To twardy i zaradny chłopak.

Blakely skrzywił się.

— A jeśli się zgodzę, dołączy pani do nas? — Zdjął okulary i pomasaował nos w miejscu, w którym zrobiły się wgniecenia od oprawek. — Podejrzewam, że mógłby zostać w obozie Alfa... tam jest bezpiecznie. — Założył okulary i wyciągnął dłoń. — Zgoda.

Ashley z ulgą wypuściła powietrze i podała mu rękę.

— Po co tyle wysiłku dla pozyskania mnie do pańskiego zespołu?

— Z powodu pani specjalizacji. Antropologia prymitywnych plemion górskich. Pani praca o siedzibach Indian Gila była znakomita.

— Mimo to: dlaczego ja? Istnieje jeszcze paru paleoantropologów o podobnych zainteresowaniach.

— Z kilku powodów. Po pierwsze — Blakely zaczął odliczać na palcach — pokazała pani na wykopaliskach, że umie kierować zespołem. Po drugie, ma pani doskonałego nosa do szczegółów. Po trzecie, jest pani niezwykle wytrwała w rozwiązywaniu tajemnic. Po czwarte, jest pani w znakomitej formie fizycznej. Po piąte, mam do pani dużo szacunku. Jakies pytania?

Zadowolona, choć lekko zażenowana, Ashley pokręciła głową. Spróbowała się nie zaczerwienić. W dziedzinie, którą się zajmowała, rzadko padają pochwały. Postanowiła zmienić bieg rozmowy.

— Ponieważ już właściwie współpracujemy, może pan wreszcie powie, gdzie znaleźliście ten wyjątkowy artefakt? — Wstała, by

umyc talerze. — Podejrzewam, że gdzieś w Afryce.

Blakely uśmiechnął się.

— Tak naprawdę to w Antarktyce.

Spojrzała przez ramię, aby oszacować, czy ją sprawdza.

— Na tym kontynencie nie ma prymitywnych kultur. To nagi lodowiec.

— Kto powiedział, że na kontynencie?

— Więc gdzie? — Odwróciła się do gościa, oparła o zlew i wytarła ręce wilgotną ścierką.

Blakely wskazał palcem w kierunku podłogi.

W głębi.

2

Black Rock, Australia

Benjamin Brust obserwował pełznącego po umywalce brunatnego karalucha. Podeszedł do krat i przeciągnął dłonią po szczecinie niegolonej od momentu aresztowania. Smród starego moczu był nieco słabszy przy drzwiach celi. Strażnik w mundurze w kolorze khaki podniósł wzrok znad egzemplarza „GQ”. Ben skinął żołnierzowi głową, ten jednak potraktował go jak powietrze i powrócił do czytania.

Przynajmniej jego klient, Hans Biederman, wracał do zdrowia. Dzięki Bogu. Jeszcze tylko Benowi było potrzebne oskarżenie o nieumyślne zabójstwo: Herr Biederman, po otrzymaniu drobnego klapsa za uczestnictwo w wyprawie, miał dziś samolot do Niemiec, Bena jednak — jako osobę, która wszystko zaplanowała — czekał długi pobyt w więzieniu wojskowym.

Od pięciu lat oferował ludziom, których stać było na drogie bilety, ekspedycje do egzotycznych miejsc, z rzadkimi widokami, i towarzyszył im w tych wyprawach. Organizacja czegoś takiego wymagała nagięcia — czasem złamania — kilku zasad. Specjalizował się w przedsięwzięciach wymagających zejścia pod ziemię: wyprawach do opuszczonych kopalni diamentów w Republice Południowej Afryki, zasypanych pod Himalajami klasztornych ruin, podmorskich tuneli u wybrzeży Karaibów, tym

zaś razem — zachwycających jaskiń w Australii, do których dostęp zamknięty został przeciętnemu obywatelowi przez armię.

Jaskinie znajdowały się w jednej z najbardziej oddalonych części poligonu Black Rock, a zostały odkryte i opisane przez Bena osobiście, gdy cztery lata wcześniej tam stacjonował.

Wszystko szło jak po sznurku do chwili, gdy Herr Biederman, pulchny Niemiec, poślizgnął się i złamał nogę. Ben powinien był go zostawić za karę, że zignorował ostrzeżenie, a tymczasem próbował wyciągnąć z jaskiń nieszczęsny tyłek turysty. Wrzaski Biedermana ściągnęły żandarmerię i w nagrodę za trudy Bena aresztowano.

Odwrócił się od krat i opadł na zżarty przez mole materac, oparł się plecami o ścianę i zaczął się przyglądać plamom na suficie. Na korytarzu zastukały obcasy, ktoś powiedział coś do wartownika.

Grube czasopismo opadło na podłogę.

— Tutaj, panie pułkowniku! Czwarte drzwi. — W głosie wartownika słychać było strach.

Stukot obcasów zbliżył się do celi i ucichł. Ben podniósł się na łokciu, by sprawdzić, kto zacz. Od razu rozpoznał swojego dawnego dowódcę: łysa głowa, orli nos, szare świdrujące oczy.

— Pułkownik Matson?

— Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że kiedyś tak skończysz. Jak zwykle sprawiasz kłopoty. — Igrający w kącikach ust uśmiech łagodził szorstkość słów. — Jak cię traktują?

— Jak w Hiltonie, pułkowniku. Choć obsługa pokoiów jest nieco ślamazarna.

— Nic niezwykłego. — Pułkownik dał znak wartownikowi, by otworzył celę. — Za mną, sierżancie Brust.

— Teraz „panie Brust”, pułkowniku.

— Nieważne — odparł Matson i odwrócił się. — Musimy porozmawiać.

— Mam go skuć, panie pułkowniku? — spytał wartownik.

Ben obdarzył Matsona najbardziej niewinnym spojrzeniem, na jakie potrafił się zdobyć.

— Pewnie — odparł pułkownik. — Będzie lepiej. Nie wolno ufać cywilom.

— Tak jest! — Ben stanął niby na baczność. — Wygrał pan. Sierżant Brust zgłasza się do służby.

Pułkownik skinął głową i odprawił wartownika gestem dłoni.

— No to chodźmy, sierżancie. Do mojego gabinetu.

Wyszli z więzienia i po krótkiej jeździe dotarli do budynku administracji. Gabinet pułkownika nie zmienił się nawet o jotę — stało w nim to samo biurko z orzecha włoskiego, z okrągłymi plamami po kubkach do kawy na blacie, ściany zdobiły proporceyki Starej Gwardii*, na bocznej ścianie wisiało mnóstwo trofeów. Sądząc po zachowawczej postawie zwykle bardzo żwawego pułkownika, Ben domyślił się w trakcie jazdy, że jego były dowódca trzyma w zanadrzu coś ważnego.

. . .

Pułkownik kazał Benowi usiąść, po czym sam przysiadł na skraju biurka i zaczął obserwować gościa. Miał kamienną twarz. Ben próbował nie dać się zastraszyć spojrzeniem.

— Co się, do cholery, z tobą stało? — zmęczonym głosem spytał po dłuższej chwili pułkownik. — Najlepszy z najlepszych, i po prostu znikasz.

— Dostałem ciekawszą propozycję.

— Jaką? Jeżdżenie z bogatymi bubkami z kryzysem wieku średniego na dające podniecie wycieczki?

— Wolę określać to mianem „wakacji z przygodami”. Poza tym zarabiam dość, żeby wspomagać hodowlę owiec ojca.

— I dorobiłeś się nawet pewnej renomy. Prawdziwy pies jaskiń.

* Powstała w latach 30. XX wieku w Australii tajna armia konserwatystów, przygotowywana do „utrzymania prawa i porządku” w razie upadku cywilnego rządu i zagrożenia komunistycznego.

Czytałem o podziemnej ekspedycji ratunkowej w Stanach. Wielki z ciebie bohater, co?

Ben wzruszył ramionami.

— Ale nie dlatego odszedłeś. Chodziło o Jacka, prawda?

Na dźwięk imienia przyjaciela twarz Bena zrobiła się posępna.

— Wierzyłem w Gwardię. I w honor. Ufałem panu.

Pułkownik Matson skrzywił się.

— Czasami polityczne naciski skrzywiają zasady. Deformują honor.

— Gówno prawda. — Ben pokręcił głową. — Po syfie, jaki syn premiera próbował zafundować swojej dziewczynie, zasługiwał na każdy cios, jaki dostał od Jacka.

— Premier ma potężnych przyjaciół. Pobicie jego syna nie mogło pozostać bezkarne.

— Niech to jasna cholera! — Ben wałnął pięścią w podłokietnik fotela. — Zrobiłbym dokładnie tak samo. Proces przed sądem wojskowym był parodią. — Przerwał, z trudem przełknął ślinę i kontynuował nieco ciszej: — Jacka odarto ze wszystkiego, co czyniło z niego mężczyznę, a pan się dziwi, dlaczego odszedłem?

Matson westchnął, jakby był z czegoś zadowolony.

— Szale losu przeważały na twoją korzyść. Sytuacja polityczna tym razem może ci sprzyjać.

— Co ma pan na myśli? — spytał Ben, marszcząc czoło.

— Powinienem udać, że nie dostałem tego listu. Przy kłopotach, jakich narobiłeś, zasługujesz jak cholera na kilka lat za kratkami.

— Jakiego listu?

— Rozkazu z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Masz zostać zwolniony.

To jakiś żart? Zamierzali go ot tak wypuścić? Ben patrzył na nagle zaniepokojonego Matsona.

— Co jest, pułkowniku?

— Jest haczyk.

Oczywiście. Jak zawsze.

— Musisz się przyłączyć do międzynarodowej ekspedycji. Jakiś amerykański profesor zażyczył sobie tego ze względu na twoje doświadczenie w eksplorowaniu jaskiń. To operacja typu cicho sza. Umorzą wszystkie zarzuty i zapłacą ci za pracę. — Matson przesunął w kierunku Bena kartkę papieru. — Proszę.

Ben szybko przeczytał list i jego wzrok zatrzymał się na liczbie na dole. Wpatrywał się w zera z obawą, że źle je policzył. To nie mogła być prawda. Gdyby to była prawda, zostałby właścicielem hodowli owiec pozbawionej długów i obciążeń. Koniec z podejrzanymi wycieczkami.

— Niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe? — spytał pułkownik, pochylając się i kładąc dłonie na jego barkach. — I nie do przegapienia.

Oszołomiony Ben skinął głową.

— Coś mi mówi, że powinienś pilnować swojego tyłka. — Matson podszedł do fotela za biurkiem i usiadł. — Ważni chłopcy postanowili się tobą zabawić, a mają skłonność do przetaczania się po maluczkich jak walec. Pamiętaj o Jacku.

Ben wpatrywał się w liczbę na dole kartki. Rzeczywiście było to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

. . .

Z powrotem w celi, zasłoniwszy ramieniem oczy, Ben odpłynął w sen i niemal od razu zagubił się w koszmarze, który go nie nawiedzał od dzieciństwa. Był znowu chłopcem i w olbrzymiej jaskini przebijał się między mokrymi kamiennymi kolumnami metrowej średnicy. Znał to miejsce. Dziadek zaprowadził go tam kiedyś, by pokazać mu petroglify Aborygenów.

Jaskinia była ta sama, teraz jednak z kamiennych kolumn wyrastały obwieszane owocami gałęzie. Zaciekawiony, sięgnął po wypełniony papkowatym mięszem czerwony strąk, zabrakło mu jednak kilku centymetrów, by go chwycić. Gdy cofał rękę, poczuł

wwiercające mu się w kark spojrzenie. Szybko się odwrócił, lecz nikogo tam nie było. Wszędzie wokół czuł jednak oczy. Na skraju pola widzenia, za wielkim kamiennym walcem, dostrzegł ruch.

— Jest tam kto?! — zawołał i podbiegł do kolumny, by za nią zajrzeć. Tu też była pustka. — Czego chcesz?

Mimo woli przyszło mu na myśl słowo „duchy”.

Zaczął uciekać...

Czuł, że coś go goni, wzywa z powrotem. Nie zwracał na to uwagi i biegł, szukając wyjścia. Kolumny przesuwwały się, spowalniając go. Poczuł na karku delikatne dotknięcie i tuż przy jego uchu rozległ się niewyraźny szept:

— Jesteś... jednym... z nas...

Krzycząc, wyrwał się z otchłani snu.

Leżał na przycy, serce waliło mu jak oszalałe. Pomasował sobie skronie. Jasna cholera! Dlaczego ten koszmar wrócił? Zamknął oczy i przypomniał sobie, że dręczące go wizje zaczęły się po kłótni z dziadkiem w aborygeńskiej jaskini w pobliżu Darwin.

— Nie, to nieprawda! — zawył trzynastoletni Ben, któremu od tego, czego się dowiedział, w oczach zbierały się łzy.

— Prawda, młody człowieku. I nie zamierzam pozwalać nazywać się kłamcą. — Dziadek przyglądał mu się, marszcząc czoło. — Kiedyś było to gniazdo rodzinne mojej babci — powtórzył, po czym dźgnął Bena palcem w pierś. — Twojej krewnej w linii prostej.

Bena przerażała myśl, że w jego żyłach może płynąć aborygeńska krew. Wraz z przyjaciółmi zawsze naśmiewał się w szkole z ciemnoskórych aborygeńskich dzieci, a teraz, w ułamku sekundy, został wrzucony z nimi do jednego worka. Pokręcił głową.

— Nie jestem cholernym czarnuchem!

Ostry cios w policzek był niczym ukłucie.

— Szanuj swoich przodków.

Jeszcze dziś wspomnienie tej sceny wywoływało w nim zażenowanie. Jako chłopak wstydził się swojego dziedzictwa.

W czasach jego młodości Aborygenów uważano za obywateli drugiej kategorii, znajdujących się w hierarchii społecznej jedynie odrobinę wyżej niż zwierzęta. Na szczęście dzięki kilku pokoleniom europejskich przodków łatwo było mu ukryć niechlubną tajemnicę. Niestety, nie przed sobą samym. Wtedy zaczęły się nocne koszmary.

Setki razy budził się w nocy owinięty lepiącą się do spoconego ciała pościelą, ze spływającymi po policzkach łzami. Zaciskał dłonie na kołdrze i modlił się, żeby nikt nie poznał jego sekretu.

Gdy z biegiem czasu dojrzał, zaczął szanować i doceniać swe wyjątkowe dziedzictwo. Sny przestały się pojawiać i zostały zapomniane niczym pochowane do kartonowych pudeł zabawki. Odpłynęły w niepamięć.

Ben pokręcił głową. Dlaczego akurat teraz wróciły? Jaki sens ma przywoływanie strachów z dzieciństwa?

Doszedł do wniosku, że to na pewno z powodu tej cholernej celi, i zakrył się dokładniej przypominającym szmatę kocem. No cóż, dzięki listowi, który przyszedł w samą porę, wkrótce będzie miał to przeklęte miejsce z głowy.

. . .

Miesiąc później tajemniczy dobroczyńca przysłał do Black Rock telegram i w dwadzieścia godzin Ben awansował z więźnia ciasnej celi w Australii na gościa wielopokojowego apartamentu w Sheratonie w Buenos Aires.

Sprawdził stopą wodę w wannie. Była tak gorąca, że się lekko skulił, zaraz jednak na jego usta wypłynął uśmiech. Aaach... doskonała. Po miesiącu więzienia w Black Rock, miesiącu letniej wody cieknącej z prysznica, która nie była w stanie zmyć zatykającej pory warstwy brudu, gorąca kąpiel zapowiadała się orgiastycznie. Ben zsunął się do wanny i ułożył wygodnie w parującej wodzie. Wcisnął przycisk uruchamiający podwodne dysze. Ze wszystkich stron zaczęły go masować wywołujące

przyjemny dreszczyk strumienie, tworzące w wodzie łagodne wiry. Prawdziwa orgia.

Westchnął, oparł plecy o bok wanny i pozwolił ciału się odprężyć, unosić się na silnych strugach wody.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Ben zignorował je, wsunął się głębiej do wody.

Ktoś zastukał ponownie, bardziej natarczywie.

Podpychając się łokciami, Ben uniósł ciało nad lustro wody.

— Kto tam?

— Przepraszam bardzo, ale doktor Blakely chce, by przyszedł pan do sali Pampas na parterze — odpowiedział mu stłumiony głos. — Pozostali goście już się zbierają.

Ben potarł oczy.

— Potrzebuję pięciu minut. — Gdy wstał z gorącej kąpieli, od chłodnego powietrza w łazience dostał na nogach gęsiej skórki. Ubrał się w stary brązowy tweedowy garnitur i zszedł do sali konferencyjnej.

Z zadowoleniem stwierdził, że w przedśionku ustawiono przenośny bar. Za blatem z butelkami kręcił się barman. Wokół, w małych grupkach, zebrało się sporo osób obojga płci.

Ben rozejrzał się. Nikt nie zwracał na niego uwagi. A więc tyle, jeśli chodziło o gorące powitanie. Jeszcze raz zlustrował wzrokiem pomieszczenie i uznał, że whiskey poprawi jego opinię o tym „przyjęciu”. Podeszedł do baru.

— Co podać?

— Whiskey i piwo. — Oparł łokieć na obiciu z czarnego skaju biegnącym wzdłuż krawędzi baru i znów zaczął się rozglądać. Nie było to towarzystwo, do jakiego przywykł. Zero głośnych śmiechów, żadnego rozlewania drinków, ani jednego rozzłoszczonego podpitego typu. Nudy. Jednym haustem połknął whiskey, odstawił kieliszek z głośnym stuknięciem, poczekał, aż przestanie go palić w gardle, i zabrał się do piwa.

Za jego plecami rozległ się kobiecy głos.

— Whiskey. Bez wody.

Odwrócił się, by sprawdzić, któż to ma podobny do niego gust w kwestii drinków. Pijące whiskey kobiety to rzadkość jak czterolistna koniczyna. Widok nie rozczarował Bena.

Kobieta obracała postawioną przed nią szklaneczką. Miała długie palce z krótkimi, ale polakierowanymi paznokciami. Żadnych pierścionków. Ani obrączki. Dobrze. Była tego samego wzrostu co on, co w przypadku kobiety zaskakiwało. Skórę miała opaloną, brąz wpadał w intensywny miedziany odcień świadczący o długim przebywaniu na słońcu. Najbardziej zdumiały jednak Bena czarne włosy spływające luźnymi lokami do pasa kobiety.

— Mogę pani postawić jeszcze jednego drinka? — spytał, podkreślając swój australijski akcent. Zawsze ściągało to uwagę kobiet.

Ta uniosła brew.

— Są darmowe — odparła. — To bar dla gości.

Jego szelmowski uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— W takim razie może dwa?

Bez słowa wpatrywała się w niego zielonymi oczami.

Wyciągnął dłoń.

— Ben Brust. Z Sydney.

— Mogłam się domyślić po akcencie — odparła kobieta z cieniem uśmiechu na ustach. — Przeciąganie samogłosek wskazywałoby jednak bardziej na Australię Zachodnią niż na Nową Południową Walię.

— No cóż... — Ben opuścił dłoń i zaczął się jąkać, jakby go na czymś przyłapano. — Tak naprawdę wychowałem się na owczej farmie ojca pod Perth. W Australii Zachodniej. Ale ponieważ większość ludzi nie odróżnia Sydney od...

— Tak sądziłam. — Kobieta wzięła drinka i zaczęła się odwracać. — Spotkanie wkrótce powinno się zacząć.

— A pani jest...? — poprosił błagalnie o jakiś ochłap, zanim kobieta odejdzie.

— Doktor Ashley Carter — powiedziała i ruszyła przed siebie.

Patrzył, jak Ashley Carter odchodzi. Nie było w niej nic z naukowca. Przełknął resztki piwa, nie przestając jej obserwować.